

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

JAK KANDYDOWAŁEM NA GUBERNATORA

Mark Twain

Przed kilkoma miesiącami wysunięto moją kandydaturę na gubernatora stanu New York z listy niezależnych. Moimi kontrkandydatami byli pp. John T. Smith oraz Blank J. Blank.

Wiedziałem, że posiadam niewątpliwą przewagę nad tymi panami w postaci dobrej reputacji.

Wystarczyło spojrzeć na gazety, aby dowiedzieć się, że jeśli panowie ci cieszyli się kiedyś dobrą opinią, to czasy te minęły już bezpowrotnie. Nie ulegało wątpliwości, że mieli oni w ostatnich latach do czynienia z najbardziej podejrzanymi i brudnymi sprawkami. Kiedy jednak cieszyłem się w cichości ducha z mojej przewagi moralnej, to z radością tą mieszało się uczucie zażenowania, że moje nazwisko wymieniane będzie jednym tchem z nazwiskami tego typu indywiduów.

Długo zwlekałem z przyjęciem kandydatury, aż wreszcie postanowiłem napisać w tej sprawie do mojej babki. Odpowiedź jej była zarówno szybka, jak i dobitna:

"Nie popełniłeś w swym życiu niczego takiego, co mogłoby przynieść ci ujmę. Spójrz tylko na gazety, a zrozumiesz, jakimi osobnikami są panowie Smith i Blank. Zastanów się dobrze, czy chcesz poniżyć się do tego stopnia, aby rywalizować z ludźmi tego pokroju."

Tak samo właśnie i ja myślałem! W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Mimo wszystko jednak nie widziałem sposobu wycofania swej kandydatury. Byłem już zaangażowany i musiałem stanąć do walki.

Przeglądając przy śniadaniu dzienniki natrafiłem na taką oto wzmiankę, która wytrąciła mnie całkiem z równowagi:

KRZYWOPRZYSIĘSTWO

Może by pan Mark Twain wytłumaczył nam dzisiaj, gdy staje jako kandydat na gubernatora przed swym narodem, jak to się stało, że w r. 1863 w miejscowości Wakawak w Kochinchinie czterdziestu czterech świadków udowodniło mu krzywoprzysięstwo, które popełnił, aby wydrzeć szmat pola bananowego z rąk nieszczęśliwej wdowy malajskiej i jej bezbronnej rodziny, dla której pole to było jedynym środkiem utrzymania.

Nie wątpimy, że p. Twain w interesie zarówno swoim, jak i ludu, o którego głos zabiega, zechce sprawę tę wyjaśnić jak najrychlej. Czy jednak to uczyni?

Myślałem, że pęknę ze zdumienia. Cóż za okrutne, straszliwe oskarżenie. Nie widziałem nigdy na oczy Kochinchiny! Nie słyszałem o żadnym Wakawaku! Nie potrafiłbym odróżnić pola bananowego od kangura! Nie wiedziałem, co począć. Byłem oszołomiony i bezradny.

Dzień minął, a ja nic nie zrobiłem w tej sprawie. Nazajutrz ta sama gazeta zamieściła króciutką notatkę:

CHARAKTERYSTYCZNE

Godzi się zauważyć, iż p. Twain zachowuje znamienne milczenie w sprawie krzywoprzysięstwa w Kochinchinie. (N. B. Przez cały czas walki wyborczej dziennik ten nie nazywał mnie inaczej, jak

"Twain, ohydny krzywoprzysięzca".)

Następnie wpadła do mych rąk "Gazette", w której przeczytałem, co następuje:

PROSIMY O ODPOWIEDŹ

Może by nowy kandydat na stanowisko gubernatora zechciał wyjaśnić nam pewną sprawę. Idzie o jego współlokatorów w Montanie, którym od czasu do czasu ginęły różne drobne, choć wartościowe drobiazgi.

Dziwnym trafem znajduwano je zawsze u p. Twaina. Współlokatorzy byli zmuszeni udzielić mu dla jego własnego dobra przyjacielskiego napomnienia, po czym dali mu niezłą nauczkę i poradzili, aby pozostawił na stałe próżnię w miejscu, w którym zwykł był przebywać w obozie. Czekamy na wyjaśnienia p. Twaina w tej sprawie.

Czy można było zdobyć się na większą złośliwość? Nigdy w życiu nie byłem w Montanie. ("Gazette" nie nazywała mnie odtąd inaczej, jak "Twain, złodziej z Montany".)

Brałem teraz do rąk dzienniki tak ostrożnie, jak człowiek, który podnosi kołdrę spodziewając się znaleźć w łóżku żmiję.

W parę dni później znalazłem znów taki oto artykułik:

KŁAMSTWO PRZYGWOŹDZONE

Złożone pod przysięgą zeznania pp. Michela O'Flanagana, esq. z Five Points oraz Snub Rafferty i Catty Mulligana z Water Street jednogłośnie dowodzą, iż fałszywe oświadczenie p. Marka Twaina na temat dziadka naszego kandydata pozbawione jest wszelkiego pokrycia w rzeczywistości. P. Twain ośmielił się mianowicie stwierdzić, iż zmarły dziadek powszechnie szanowanego p. Blanka J. Blanka powieszony został za rabunek uliczny, co jest ohydny i ordynarnym łgarstwem. Jest rzeczą odrażającą, iż dla doraźnych celów politycznych nie daje się spokoju ludziom nawet w grobach obrzucając błotem ich czcigodne nazwiska. Kiedy pomyślimy o tym, jak wielce boleć muszą podobne zniewagi rodzinę i przyjaciół nieodżałowanego nieboszczyka, nie możemy oprzeć się chęci zaapelowania do szanownych wyborców, aby udzielili nauczki zdziaczemu oszczercy. Ale nie!

Pozostawmy go raczej na pastwę wyrzutów sumienia (choćby szlachetniejsi spośród czytelników zadali kłamcy obrażenia cielesne, nie ulega wątpliwości, że nie znalazłby się sąd, który potępiłby ich za ten wzniosły uczynek).

Misterne ostatnie zdanie tego artykułu wywarło taki skutek, że "najszlachetniejsi spośród czytelników", opanowani szlachetnym oburzeniem, wyrzucili mnie w nocy z mojego własnego mieszkania łamiąc meble i okna oraz unosząc ze sobą to wszystko, co byli w stanie unieść. A jednak gotów jestem przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie obraziłem pamięci dziadka p. Blanka. Więcej jeszcze, nie słyszałem o nim aż do chwili ukazania się wspomnianego artykułu. (Nawiasem mówiąc, dziennik ten nazywał mnie odtąd "Twain, profanator zwłok".)

Następna wzmianka, która przykuła moją uwagę, brzmiała następująco:

ŁADNY KANDYDAT

Mark Twain, który miał wczoraj wygłosić mowę na wiecu niezależnych, nie przybył wcale na wiec.

Lekarz jego doniósł telegraficznie, że p. Twain ma nogę złamaną w dwóch miejscach. Pacjent cierpi okropnie - itd. itd. i całe mnóstwo podobnych bredni. Niezależni wzięli to za dobrą monetę, teraz zaś udają, że nie wiedzą nic o prawdziwej przyczynie nieobecności tego indywiduum, które w swym zaślepieniu wybrali na kandydata. A przecież widziano wczoraj wieczorem, jak jakiś pijany osobnik zmierzał do mieszkania p. Twaina w stanie zupełnego zamroczenia. Jest obowiązkiem niezależnych dostarczyć nam dowodów, iż osobnik ten nie był p. Markiem Twainem. Nareszcie mamy ich w ręku! W tej sprawie nie ma miejsca na żadne kruczki i wybiegi! Lud zadaje im z całą

mocą i naciskiem pytanie: "Kim był ten pijak?"

Było to fantastyczne, całkiem fantastyczne, że właśnie moje nazwisko zamieszane było w podobną sprawę. Przeszło trzy lata minęły już od chwili, kiedy miałem w ustach ostatnią kroplę alkoholu. (Już od następnego numeru dziennik ów nazywał mnie stale: "Pan Delirium Tremens Twain".)

W tym samym czasie zaczęły do mnie napływać w wielkiej ilości listy anonimowe. Treść ich była zawsze niemal jednakowa: Jak to było z tą kobietą, którą pan pobił, kiedy prosiła o jałmużnę? Poi Pry.

Albo: Popelnił pan szereg łajdactw, o czym nie wie nikt prócz mnie. Radziłbym więc panu przesłać mi odwrotnie kilka dolarów, gdyż inaczej zrobię z tego użytek w gazetach. Handy Andy.

To chyba wystarczy. Mógłbym cytować więcej, gdybym chciał zmęczyć czytelnika.

Wkrótce potem centralny organ republikański zarzucił mi przekupstwo na wielką skalę, zaś centralny organ demokratyczny przytoczył "fakty" świadczące, iż usiłowałem zyskać bezkarność w pewnych sprawkach za pomocą szantażu. Z tej racji zyskałem dwa nowe przydomki: "Twain, brudny łapownik" i "Twain, podły szantażysta".

Odtąd domagano się ode mnie odpowiedzi ze wszystkich stron i z taką natarczywością, że nie tylko redaktorzy, ale również i przywódcy mego stronnictwa orzekli, iż dalsze milczenie z mej strony stanie się moją zgubą polityczną.

Na domiar złego nazajutrz ukazał się w jednym z dzienników następujący artykuł:

PRZYJRZYJCIE MU SIĘ DOBBZE!

Kandydat niezależnych wciąż jeszcze milczy. Robi to dlatego, że nie ma dość odwagi, aby zabrać głos.

Wszystkie oskarżenia przeciwko niemu są w pełni umotywowane, zaś swym milczeniem potwierdza on jeszcze stokrotnie ich słusność. Niezależni, przyjrzyjcie się swojemu kandydatowi! Spójrzcie na ohydneho krzywoprzysięcę, złodzieja z Montany, profanatora zwłok! Podziwiajcie tego deliryka, brudnego łapownika, podłego szantażystę! Zastanówcie się i powiedzcie, czy możecie złożyć wasze głosy na człowieka obciążonego tak wstrętnymi zbrodniami, który nie posiada nawet dość odwagi, aby pisać słówko w swojej obronie!

Nie, dłużej nie mogłem milczeć. Zanim jednak przygotowałem "odповідź" na tę potworną ilość zarzutów, jeden z dzienników zarzucił mi, że spaliłem dom wariatów li tylko dlatego, że przesłaniał mi widok z mojego okna. To wprawiło mnie w jakiś niesamowity lęk.

Zaraz potem przeczytałem zarzut, iż otrujęm mego wujaszka pragnąc zawładnąć jego majątkiem - zarzut połączony z żądaniem ekshumacji zwłok. Omal że nie zwariowałem!

Następnie oskarżono mnie, że będąc dyrektorem przytułku używałem do najcięższych robót zniedołężniałych i bezzębnych staruszków. Zacząłem poważnie się wahać, czy nie wycofać się z tej całej awantury. Na koniec jednak, jako ukoronowanie wszelkich oszczerstw rzucanych na mnie przez przeciwników politycznych, nastąpiło zwołanie całej chmary dzieciaków różnej wielkości i maści i nakazanie im, by wołały w czasie mego przemówienia na wiecu: "Tatus, tatus!"

Dałem za wygraną. Uległem. Nie dorosłem widać do wysokiego stanowiska gubernatora stanu New York. Wycofałem moją kandydaturę, przy czym tak podpisałem się na mym liście:

"Z szacunkiem Mark Twain niegdyś porządny człowiek, dziś ohydny krzywoprzysięzca, złodziej z Montany, profanator zwłok, deliryk, brudny łapownik, podły szantażysta itp."